

(wydaje mi się, że pożyczylimy Jankowe). Znalazł się także krawat i kwiatki dla Narzeczonej. „I tak to się zaczęło” – poszedłem do ślubu w pożyczonym ubraniu. Jeśli dobrze pamiętam, piątego czerwca 1954 zawarliśmy ślub cywilny, a nazajutrz – to już data pewna – odbył się ślub kościelny. Były to czasy supremacji państwa nad Kościołem: ksiądz nie mógł udzielić ślubu bez zaświadczenia z USC.

Kościół był w tym dniu szczególnie uroczyście przystrojony: ze sklepienia zwisały długie girlandy zieleni, kwiatów, których pełno było w całym kościele; dużo też było światła i smug kadzidlanego dymu. Dostaliśmy klęcznik, tuż przed balustradką i musieliśmy oboje klęczeć na nim przez ogromnie długą Summę. W czasie słuchania nabożeństwa zdarzył mi się niecodzienny przerywnik: z pobliskiego sznura zwisających kwiatów sfrunął na mnie jakiś owad, dostał się za kołnierz i zaczął niemiłosiernie łaskotać na plecach. Jakiś czas próbowałem to przetrzymać, naprężając ubranie, ale wreszcie sięgnąłem ręką do tyłu i przycisnąłem. Coś chrupnęło i... miałem już spokój. A my przysięgaliśmy sobie miłość i wierność „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. I tak się, niestety stało... Boże, mój Boże...

Z kościoła wracaliśmy wraz z całym orszakiem piechotą (sic!) do domu, oddalonego o dobre dwa kilometry. Po drodze mieliśmy wstąpić do fotografa, ale coś przeszkodziło – faktem jest, że ślubnego zdjęcia nie mamy.

W domu czekały już stoły zastawione smakołykami do uczy weselnej. W wiaderku zimnej wody ze studni chłodziła się wódka. Miałem trudne zadania do wypełnienia jako pan młody: trzeba było dbać o zaopatrzenie talerzy i kieliszków gości, a przede wszystkim mojej Żony; starać się nie pomylić imion Braci Róży, których miała trzech: Wiktora, Mariana i Janka – czwartym mężczyzną Rodziny Róży był mąż jej siostry, Gustaw – z mej strony na ślubie i weselu byli Ojciec z Zosią i Bratostwo; wreszcie – mimo licznych toastów kierowanych w naszą stronę starać się pozostać w miarę trzeźwym, ponieważ wieczorem czekało mnie odwiezienie gości (dorożką) do pociągu. Mimo choroby żołądka mój szwagier przyłączał się za każdym razem do toastów i kieliszek wychylał do dna: dowiedziałem się jednak rychło, że miał w nim herbatę kolorem znakomicie dobranym do koloru wódki. Nalewałem sobie tego samego i trochę dzięki temu goście odjechali właściwym pociągiem we właściwym kierunku...

Ale i dla mnie godzina powrotu do Wrocławia zbliżała się nieubłaganie. Miałem pojechać sam, ponieważ Róża zajęta była formalnościami przeniesienia swego stanu zatrudnienia do oddziału Miastoprojektu w Wrocławiu. Rozstaliśmy się, nękani jednakowymi myślami: oto pobraliśmy się, a musimy trwać w samotności. O tym samym, widocznie, rozmyślał i mój szwagier kiedy, towarzysząc Róży w powrocie ze stacji kolejowej powiedział: – No widzisz – miałaś męża i gdzież on się podział? Zabolalo to Różę.

9. Życie z Różą

Kiedy zobaczyliśmy się następnym razem – było to już we Wrocławiu. Nazwę tego Miasta wpisano Róży do dowodu osobistego jako „miejsce stałego pobytu”. Działo się to w miesiącach letnich, sierpień – wrzesień 1954.

Mieszkałem wtedy przy ul. Smoluchowskiego, u Lamentów, na czwartym piętrze, zajmując średniej wielkości pokój. Parę dni wcześniej pokój ten administracja „ozdobiła” dwiema parami grubych belek, rozpierających podłogę od sufitu, który ponoć groził zawaleniem. W ten prosty sposób remont dachu zastępowało się rusztowaniem. W efekcie mieliśmy trzy pomieszczenia do sprzątania, a jedno małe do życia. Mieszkał tam początkowo we dwoje później także we czworo. Wiosną następnego roku Róża miała bardzo ciężki żywot, wychodząc z dodatkowym obciążeniem na czwarte piętro. Starałem się jej przynajmniej w jednym obciążeniu pomagać, niosąc zakupy; nadto szedłem często za nią, wypychając ją lekko w górę przy wchodzeniu na schody.

Żywot ten rozświetlał nam popołudniową porą 4 – 5 letni synek gospodarzy – bardzo miły chłopczyk. Spytany o imię, odpowiadał: „Dzejka Molenda” i to „Molenda” już się przyjęło w naszych rozmowach z Różą. Nigdy nie słyszałem, by swe imię (Andrzej) wypowiadał inaczej, niż w dopełniaczu. Wyraźnie nas oboje z Różą lubił; często siedział u nas mówiąc: „Dzejka batkę pije”, co równie dobrze oznaczało samą czynność jak i ochotę na nią. Nie pozwolił wtedy nikomu zabrać się z naszego pokoju. Zdarzyło się raz, że przyszedł

z wizytą – na herbatkę – a my byliśmy czymś zajęci i odpowiadaliśmy pomrukiwaniem – obraził się wtedy zupełnie jak dorosły człowiek. Trzeba było paru dni na rozpogodzenie.

W kwietniu 1955, osiemnastego, urodził się nam nasz pierwszy syn. Dostałem wiadomość z Kliniki Położnictwa, że porodem opiekował się prof. Nowosad. Kiedy poszedłem do niego z podziękowaniem – śnieg padał gęsto. My z Politechniki nie mieliśmy żadnych trudności z dostaniem się do gabinetów profesorskich Akademii Medycznej i byliśmy traktowani jak koledzy. Dziękując, zapytałem o honorarium. Profesor zagadnął mnie wpierrw o mój status w Politechnice; dowiedziawszy się, że zajmuję stanowisko adiunkta po doktoracie, powiedział: – Panie Kolego – jak pan będzie profesorem – to proszę przyjść do mnie. Wtedy pomówimy o honorarium.

Podziękowałem tedy raz jeszcze i poszedłem do Róży. Przeszedłem przez bramę, przy której była wartownia. Padający śnieg zamienił się w zawieruchę. Nie zwracałem na „ciecia” żadnej uwagi, ale on mnie zauważył i zawołał głośno: – Panie, panie – a pan doktor?! No, na takie pytanie mogłem odpowiedzieć twierdząco:

– Tak, tak, jestem doktor! – trochę nie gramatycznie, ale z pełnym przekonaniem. W tym momencie zrozumiałem, że mam wytrych w rękę, który już mi różne drzwi pomaga otwierać. Ale do pokoju, gdzie leżała Róża, nie wpuszczono mnie. Widziałem ją z dołu w oknie drugiego, czy trzeciego piętra z małym zawiniątkiem na rękę. I pomyślałem sobie: – Ta mała kukiełeczka – to ma być mój syn?! Ale za parę dni okazało się, że „on ci to jest!”. I przywiozłem, już teraz dwie osoby, taksówką do domu.

Dwa dni wcześniej wysłałem telegram do Mamy Klimczakowej: „mamo przyjeżdżaj – będziesz miała wnuczka”. A wieczorem poszedłem na imieniny do któregoś z kolegów myśląc, że przecież Mama taka rychła nie będzie i mam parę godzin czasu, zanim pójdę na dworzec. Nie liczyłem się z tym, że w ’55 pociągi częściej chodziły niż dzisiaj, a poza tym Mama przez wiele lat była żoną kierownika pociągu i na kolei znała się o wiele lepiej niż ja. Dość powiedzieć, że kiedy wróciłem po północy, bagaże Mamy stały u mnie w pokoju, a ona sama spała na łóżku, posłanym jej przez gospodynię. Okazało się, że zdążyła na wcześniejszy pociąg, a z dworca wzięła po prostu taksówkę. Zaimponowało mi to wszystko zważywszy, że miała już wówczas powyżej 75 lat, a we Wrocławiu była po raz pierwszy.

Róża twierdziła zawsze, że Mama jest mało samodzielna; prawie całe życie spędziła na Berezce, zajmując się wychowaniem piątki dzieci. Nie miała więc wiele czasu na zetknięcie się z geografiami nawet najbliższego otoczenia. Tymczasem – jakkolwiek bardzo było mi przykro, że nawaliłem – wzbudziła mój podziw swoim zaangażowaniem w nową przecież robotę i niezwykłą zaradnością w podróży do odległego i nieznanego miasta. Ale że dzieci bardzo kochała – zawsze była gotowa przyjść z szybką pomocą. Tak też było i tym razem.

A co Mama potrafiła, zobaczyłem zaraz przy pierwszej kąpieli Krzysia, przy której asystowałem. Nie certoliła się zbytnio: sprawdziwszy łokciem temperaturę włożyła go do wody i przekładała z boku na bok, mydliła; a te wszystkie kończyny dziecka były tak małe i filigranowe, jak ucho od filiżanki – zdawało się wręcz, że są tak samo kruche. Ale nic podobnego! Wyjęła chłopaka z kąpieli i dopiero wtedy zaczął się krzywić – okropnie lubił być w wodzie. Po wytarciu wzięła kocyk i bez większych ceremonii położyła mi to wszystko na ręce. Z wrażenia o mało nie upuściłem. Ale wtedy dopiero poczułem, czym jest ciągłość istnienia. Machał rączkami i nóżkami, patrzył na mnie małymi ślepkami i choć jeszcze nie mógł dobrze widzieć – to za tymi ślepkami, w głębi, już coś migotało. Miałem syna!

Róża była równie przejęta jak ja, ale uwaga jej była skupiona na szczegółach. Przejmowała matczyne obowiązki, bo Mama musiała wracać do Trzebini: na takiej powierzchni nie mogliśmy się pomieścić razem. Okropnie potrzebowaliśmy mieszkania! Byłem w tej sprawie parę razy u Rektora, ale poza obiecaniem pierwszego zwalnianego mieszkania nic więcej nie wywojowałem. Wprawdzie lato jeszcze się nie zaczęło, ale już trzeba było myśleć o zimie, a nasz pokój nie był ogrzewany.

Jesienią przyjechali Janek z Halinką Klimczakowie i wtedy zaczęły się dziać różne rzeczy. Po oglądnięciu status quo naszego „mieszkania” Janek – nikomu nic nie mówiąc – wybrał się na plac targowy. Kupił żelazny piecyk wykładany szamotką, z rurą, gdzieś pożyczył ręczny wózek i cały ten majdan przywiózł do domu. Przecierałem oczy ze zdumienia. Równie energicznie zabrał się do wstawienia rury w ścianę i za dwie godziny mieliśmy herbatę! Nawet i na noclegi znalazł się sposób: spaliśmy wszyscy czworo na moim łóżku – nie wzdłuż, lecz w poprzek łóżka! Oczywiście pod nogi trzeba było podłożyć jakieś przedmioty, które kształtem przypominały taborety. Jak myśmy się obracali w nocy?

Ten rok był bardzo dla nas trudny i obfitował w rozmaite stresy. Tydzień po powrocie z Kliniki Krzysio przechodził szczerzenia i zaczął być niespokojny, płakał nocami – okazało się jednak, że to nie szczerzenia są temu winne, lecz katar kiszek, prawdopodobnie przywieziony ze szpitala. Po kilkunastu ciężkich nocach Róża zdecydowała zabrać go na jakiś czas do Trzebini. Wrócili, kiedy mu to przeszło. Ale zaczęły się inne niepokoje: czy on nas słyszy? Akurat telewizja emitowała film o dziecku, które urodziło się głuche i na Różę zrobiło to duże wrażenie. Więc hałasowaliśmy za jego plecami, ale reakcje dziecka nie były jednoznaczne. Rzetelny dowód otrzymaliśmy przy powrocie z kolejnej wizyty u pediatry. Szliśmy ulicą Curie – Skłodowskiej, Krzysio popłakiwał w wózku. Kiedy jednak mijał nas tramwaj, płacz na chwilę przycichał. Oczywiście, pomyślałem, nie było sensu czynić hałasu, skoro tramwaj robił to lepiej – ale to znaczyło, że Krzysztof słyszy. Potem martwiliśmy się, czy widzi. Widział.

Wreszcie nadeszła wiosna. Pewnego dnia zadzwonił telefon na moim biurku:

– Słuchaj – mam dla ciebie mieszkanie... – mówił rektor. – Nic wielkiego, ale może większe niż to, co masz. I kazał mi przyjść do siebie.

Po rozmowie z szefem wybrałem się na ul. Stanisławskiego. Pracujący tam ludzie Politechniki nad odnowieniem mieszkania już wiedzieli; dali mi klucze i powiedzieli, kiedy skończą. Wróciłem dopiero za jeden, czy dwa dni. Pomalowali wszystko dokładnie, łącznie z rygłem zamka; wszystko to ładnie wyszło, rygiel trzymał mad podziw i nie było mowy o dostaniu się do środka. Po rozpaczliwych próbach otwarcia drzwi frontowych, graniczących z ukręceniem klucza, oglądałem sytuację od podwórka, na tyłach budynku. Mieszkanie mieściło się na parterze; w ścianie były małe okienka – wywietrzniki łazienki i kuchni – jedno z nich było otwarte. Wyliczyłem, że to musi być „nasze”. Pod okienkami były schody w dół do piwnicy, wzdłuż których wmurowana była pozioma i długa poręcz metalowa. – Gdybym wyszedł na tę poręcz – mówiłem sam do siebie – i stanął wyprostowany, to mógłbym skoczyć do tego okienka, uchwycić się futryny i... dalej już pójdzie. Skoczyłem, ale w żaden sposób nie mogłem się prześliznąć przez to ucho igielne i musiałem odpaść w dół. A tymczasem „w dół” było teraz trochę dalej: wysokość poręczy (około metr) sumowała się z wysokością piwnicy. Taki skok nie byłby jeszcze czymś niezwykłym

gdyby nie fakt, że wejście do piwnicy zawalone było kawałkami cegieł. pozostawionych po remoncie domu. Nie było wyjścia – skoczyłem, ale później długi czas miałem kłopoty z chodzeniem. Wszystko na nic! Wściekły, wróciłem przed drzwi wejściowe, włożyłem klucz i – dodając do solidnego momentu obrotu jeszcze moją złość – szarpnąłem i – zamek ustąpił!

Nasze pierwsze samodzielne mieszkanie „oblewaliśmy” herbatą kilka dni później, siedząc na podłodze z powodu absolutnego braku mebli. Składało się z jednego pokoju i tak zwanej niższej kuchennej; między nimi znajdował się maleńki sanitariat, ledwie mieszczący wannę. Aby przejść z lewej części na prawą trzeba było zamknąć drzwi do sanitariatu – inaczej nie było sposobu rozminięcia się z nimi. Spory regał do zawieszania na ścianie wykonał Marcin Wierzbicki w warsztacie Katedralnym; był on tak solidny, że dla demonstracji Wierzbicki zawieszał się z rękami na krawędzi i wołał, zaciągając z lwowska: „Pani magistrzy, prawda że mocny?!” Resztę najniezbędniejszych mebli zakupiliśmy na raty, kuchenkę gazową wypożyczyła nam administracja osiedla. Mama z Krzysiem zajęli niżę, a my – pokój. I tak zaczęło się – już bardziej ustabilizowane – wrocławskie życie z Różą.

Teraz dopiero zacząłem Różę poznawać i moje nią zauroczenie rosnęło. Pełna osobistego wdzięku, miała swój własny styl zarówno w kuchni jak i w garderobie. Miała także własny pogląd na wiele spraw i umiała go bronić. Pracowała w placówkach kulturalnych Miasta i wszędzie była wysoko cenionym pracownikiem. Ostatnią jej posadą było stanowisko Dyrektora administracyjnego w Wyższej Szkole Muzycznej, które pełniła przez kilkanaście lat (była członkiem Senatu). Zawsze dbała o swój – a w jeszcze większym stopniu o mój – wizerunek; nieprawdą byłoby jednak twierdzenie, że się stroiła. Nie zabiegaliśmy też nadmiernie o pieniądze – pełniła rozmaite funkcje całkowicie bezinteresownie (była, na przykład, konsultantem w Teatrze Lalek, była członkiem Komitetu Blokowego Sępolna). Z pracą w AM łączyły się dość częste wyjazdy do Ministerstwa w sprawach Szkoły; była tam cenionym partnerem rozmów. Problemy Szkoły znała na wylot, czego dowodem jest między innymi to, że kolejni rektorzy zabierali ją z sobą na spotkania z kolejnymi ministrami Kultury; Róża referowała potrzeby Szkoły od strony merytorycznej, oni – „dolewali wody”. Przyczyniła się w znaczący sposób do przekształcenia Szkoły w Akademię Muzyczną im. Światopełka Karpińskiego.

Pracę zawodową zakończyła w roku 1969 przejściem na rentę inwalidzką. Było to spowodowane nieszczęśliwym wypadkiem połączonym z kontuzją, jakiej doznała w czasie jazdy bocznymi uliczkami na Krzykach. Jadąc samochodem wzdłuż wąskiej ulicy zderzyła się z ciężarówką, która nie zdołała jej ominąć. Dziś wydaje mi się, że Róża padła wówczas ofiarą swego silnego zaangażowania w sprawy Szkoły, w tym czasie starała się o nowy budynek i była tym bardzo zafrapowana.

W niektóre pogodne letnie dni, w okresie wakacji, wybieraliśmy się z chłopcami do Szkoły Muzycznej, do Róży „w odwiedzinę”. Najczęściej jeździliśmy tramwajem lub autobusem, ale kilka wycieczek odbyliśmy pieszo. Po takiej wyprawie wszyscy na jakiś czas mieliśmy dość świeżego powietrza i ruszania nogami. W Szkole było przyjemnie chłodno i prawie zupełnie pusto o takiej porze roku; chłopcy próbowali swych sił na fortepianie, ja zaś moich na Róży, próbując wyciągnąć ją do domu nieco wcześniej. Jeśli się to udawało – wracaliśmy razem samochodem.

Róża nie tylko była muzykalna, ale znała się na muzyce. Bardzo lubiła słuchać Szopena, Beethovena, Rachmaninowa – jakże często nuciła fragmenty tych utworów, doskonale sobie radząc ze skomplikowaną chromatyką Rachmaninowa. Bywaliśmy na koncertach, mieliśmy w domu odtwarzacz i mnóstwo płyt gramofonowych, a z biegiem czasu znakomitej klasy wzmacniacz „Radmor”, który Włódzio skądś sprowadził. Kupowaliśmy też dość sporo płyt.

Róża miała silny, melodyjny głos i lubiła śpiewać. Z opowiadań jej wiem, że przez szereg lat uczestniczyła w chórze szkolnym. Usłyszałem ją w domu, kiedyśmy się pobrali. Zawsze mi się wydawało, że kiedy kobiety śpiewają lub nucą we własnym domu, to zapewne czują się w nim szczęśliwe. I tak chyba było z moją Mamą, tak było niewątpliwie z Różą. Kiedy siedzieliśmy razem z dziećmi a Róża coś szyła – często przy tym także nuciła. A miała bajeczną pamięć muzyczną: po jedno – , dwukrotnym przesłuchaniu piosenki potrafiła bezbłędnie ją odtworzyć. Oczywiście, – śpiewała także naszym dzieciom na dobranoc – podobnie jak czyniła to jej Mama. Było w tych piosenkach dużo królewien, królewiczów – i czasem tylko, dla kontrastu, pojawiał się dziki wilk.

Z zasypianiem chłopców było bowiem rozmaicie. Zwykle Włódzio już spał, kiedy Krzysio wiercił się jeszcze w łóżku, nie mogąc zasnąć.

Jeśli tylko nie był chory, to niechybnie przeszkadzała mu w tym bogata wyobraźnia (coś go przeraziło, nad czymś rozmyślał, co się i dzieciom zdarza...). W takich przypadkach Babcia lub Róża śpiewały bajki, – wożąc go przy tym w wózku. A bajek znała Babcia mnóstwo. Oto jedna z nich, w której Babcia wykazywała znajomość suspensu nie gorszą, niż Hitchcock w swych opowieściach z dreszczykiem. W pierwszej zwrotce – niemal idylla:

„Był sobie król, był sobie paż
I była też królowna...
Żyli wśród róż, nie znali burz –
Rzecz najzupełniej pewna.”

Dalej rozgrywał się już nie tylko dramat, ale wręcz horror.

„Lecz straszny los! Okrutny cios
W udziale im przypada:
Króla zjadł pies, pazia zjadł kot,
Królownę myszka zjada...”²⁶

Jeszcze pal лихо! – króla i pazia, ale królowna, królowna... I kiedy oczy Krzysia robiły się okrągłe i już... już miał zacząć płakać, Babcia śpiewała trzecią zwrotkę:

„A żeby ci nie było żal,
Dziecino ma kochana –
Z cukru był Król, z piernika Paż,
Królowna z marcepana.”

Ulga z takiego zakończenia sprawy była zwykle tak duża, że – westchnąwszy głęboko – dziecko zasypiało w ciągu następnej minuty.

Śpiewali także obaj nasi synkowie, kiedy byli w wieku 2 – 3 lat. Pamiętam doskonale, jak w cieplejsze dni Włódzio siedział w otwartym oknie w pokoju narożnym, a ja go trzymałem bezustannie to za rączkę, to za nóżkę – żeby nie wypadł. I prosiłem: – zaśpiewaj coś, Włódziu... ale tak cieniutko, cieniutuutko... Często się to udawało, jeśli był w dobrym humorze. Rozlegało się wtedy nucenie, cichutkie i „cieniutuutkie” – ale w tamtych latach jeszcze dobrze słyszałem.

W wieku 3 – 4 lat już także bardzo ładnie mówili. Czuwaliśmy nad tą ich mową oboje z Różą i tłumaczyliśmy im sens nowych słów; pilnowaliśmy też poprawności wymowy. Z niektórymi słowami były szczególne kłopoty, jak na przykład z „rododendronem”, czy „Politechniką”, którą Krzysio ochrzcił mianem „Politniki”. Uparcie wymawiał też „koziomki” choć wiedział, że jada się „poziomki”; sądzę, że był to rodzaj przekornej z nami zabawy. Włodek natomiast bardzo lubił wymyślone przez siebie słowa „bama oko” i „pusk”: każda napotkana woda (z kałużami po deszczu włącznie) była bama oko (bardzo głęboka) i wtedy trzeba było czymkolwiek zrobić pusk.

W podobnym też wieku uczyli się „dobrych manier”; rozumiem przez to nie tylko zachowanie się przy stole i używanie noża, widelca, łyżeczki, ale także, na przykład, grzeczność wobec gości. Wprawdzie jakiś czas krążyło w domu ukute przeze mnie porzekadło, że „prędzej byś słońca nauczył grać krakowiaka na trąbie, niż własne dzieci dobrych manier”, ale to już bardzo odległa historia.

Czasami chodziliśmy na spacer, do Parku. Wsuwała się wtedy mała łapka w moją dużą, a we mnie rozchodziło się przemożne uczucie ciepła spowodowane myślą, że oto obok mnie idzie istota ludzka tak bardzo do mnie podobna, że jest to w gruncie rzeczy kawałeczek mnie samego. Wędrowaliśmy alejkami, zbieraliśmy kasztany, podjętymi z ziemi patykami chłopcy ścinali pokrzywy, a pytaniom nie było końca. Podobnie – też za rękę – chodziliśmy z Różą, jednak bez patyków.

Dwa razy w życiu przeżywałem okres „zegarmistrzowskich paluszków”. Były to paluszki obu moich chłopców. Niby takie same jak moje, ale precyzyjne, jak narzędzia chirurgiczne. Tymi paluszkami mogli sięgnąć w zupełnie niedostępne dla nas szczeliny. Tymi paluszkami wycinali z kartonu i drewna najdrobniejsze elementy konstrukcji statków, samolotów, różnych detali stanowiących ich wyposażenie – a później je sklejali. W wieku kilku lat już zajmowali się mikro – elektroniką. Ta pasja przetrwała do dziś i stanowi część – jeśli nie całość – ich pracy zawodowej.

W takiej małej piątce ledwie migdał mógł się zmieścić. Gdybyś jednak na to pozwolił, to trzeba by bacznie uważać, bo zaraz ta piątka wędrowała do buzi a z nią najrozmaitsze przedmioty, których wydobycie wymagało by bolesnej ingerencji lekarzy. Pewnego dnia – chyba zdarzyło się to z Włodziem – patrzymy, a on szczęką rusza, paluszki ma czerwone, trzyma w nich samą już tylko oprawkę z żaróweczki

latarkowej i nagle coś połyka. Jezus Maria! Chłopiec zjadł bańkę szklaną żaróweczki, pogryziona na okruchy. Łapiemy go i pędzimy do pobliskiego Ośrodka Zdrowia, w którym mamy dr Wojdę, prawie domowego lekarza naszych maluchów. Wysłuchała opowiadania Róży, uspokoiła ją i powiada:

– Niech się pani nie martwi – to się dzieciom zdarza. Niech pani ugotuje kompotu z rabarbaru, odpowiednio go posłodzi i każe synkowi zjeść, ale koniecznie z łydgami rabarbaru. I trzeba patrzeć do nocniczka, co tam się pojawi.

Możecie sobie wyobrazić, z jakim napięciem śledziliśmy dalszy ciąg sprawy i jak starannie przeglądaliśmy zawartość nocniczka. Rzeczywiście, wkrótce pojawiły się odłamki szkła, poowijane niemi z łydyg. Genialne!

Wizyty u lekarzy były czasami bardzo bolesne nie tylko dla dzieci, ale i dla dorosłych, którzy musieli patrzeć, jak one cierpią. Zdarzały się bowiem różne choroby poważniejsze, niż bóle brzuszka. Bywały także i złamania kończyn, wyłącznie – jak mi się dziś wydaje – z powodu upadku z roweru. Krzysztofowi zdarzył się niebezpieczny wypadek, nie do przewidzenia. Oto na początku jednej z wycieczek, pękła (od wstrząsów?) oś obrotu kierownicy w jego rowerze: rączki do trzymania zostały mu w rękę. Szczęściem ruch na szosie był wtedy słaby i nie było w pobliżu innych pojazdów. Innym razem byliśmy w puszczy dulowskiej (koło Trzebini), Włodziu wjechał w rów i złamał rękę na którą się przewrócił. Szliśmy kilometrami do Ośrodka Zdrowia, niosąc go na zmianę, a on cały czas płakał bo przez to niesienie wcale go ręka nie bolała mniej. Zdjęcie rtg wykazało, że tylko kość promieniowa jest złamana – ręka poszła do gipsu. W szkole dało to nieoczekiwane korzyści: Włodziu nie musiał pisać wypracowań z polskiego; dodatkowo siła argumentacji wobec kolegów wzrosła poważnie, jako że kuksaniec zadany uzbrojoną ręką był naprawdę solidny.

Bardzo przeżywałem i do dziś pamiętam operację przebicia komór nosowych, której trzeba było dokonać na Krzysiu. Byłem z nim wówczas w klinice u znanej lekarki (dr Kindrat) po kolejnej, silnej anginie, w której doszło do przeniesienia kataru na zatoki czołowe. Po zbadaniu lekarka oświadczyła, że nie ma innej, skuteczniejszej metody nad operacyjną. Dostał miejscowe znieczulenie, po czym lekarka igłą dokonała przekłucia: do śmierci nie zapomnę charakterystycznego trzasku, jaki słyszałem.

Włamania kończyn zdarzały się i dorosłym. Także Róża i Mama miały po jednej nodze w gipsie. Z tym jednak, że z Mamą musiałem wręcz stoczyć walkę aby skłonić ją do wizyty u lekarza. Było to na wakacjach, w Dusznikach. Schodziliśmy po skarpie w dół, na obiad. Trawa była śliska, po deszczu i Mama poślizgnęła się.

Do bolesnych zabiegów należało również karanie chłopców. Kiedy jeden z nich coś przeskrobał, albo dochodziło do ostrych scysji między nimi uważaliśmy, że trzeba ingerować. Gdy perswazja okazywała się niewystarczająca, Róża – jeśli to ona była zaangażowana – szukała odpowiedniego „narzędzia” (linijki, paska) a ja w tym czasie cho- wałem – kogo było trzeba – za siebie i stawałem naprzeciw Róży; czasami było na odwrót.

Któregoś roku postanowiliśmy z Mamą (pod namową Róży) „odświeżyć” sufit i ściany w kuchni. Kupiliśmy farby, pożycziliśmy aparat do rozpylania. Kiedy Róża wyszła do pracy, zaczęło się skrobanie i zmywanie wodą starej farby, gipsowanie pęknięć w suficie. Koło południa wszedłem na drabinę z rozpylaczem w ręku a Mama pom- powała powietrze. Rozpylanie farby dawało bardzo dobre i równe pokrycie. W pewnym momencie powiedziałem żartem: „Mamo, jak mi nie zrobisz na obiad kotleta schabowego wielkości końskiego pazurka, to pół sufitu zostawię przy starym kolorze!” Mama powiedziała tylko: „Dobrze!”. Kiedy skończyliśmy, wyszła szybko z domu i wróciła z mięsem. Na obiad był kotlet zamówionej wielkości – z takim for- matem jeszcze się nie spotkałem; mimo usilnych starań nie dałem mu rady!

Róża była osobą religijną – nie opuszczała niedzielnych lub świę- tecznych nabożeństw. Prenumerowała też prasę katolicką, kupowała książki. Do Jej ulubionych autorów należał ksiądz Jan Twardowski, który napisał – między innymi – tomik wierszy pod znamienym tytułem: „Nie przyszedłem pana nawracać...” Ten tytuł wielce mnie zaintrygował swą oryginalnością – nie byłem przyzwyczajony do takich sformułowań. Zacząłem ją podczytywać. Rzeczywiście – nie ma w niej moralizatorstwa, nakazów i zakazów – jest za to wielka mądrość człowieka i pisarza, jest nie dająca się odeprzeć głęboka wiara, że całe nasze ziemskie życie jest jedynie drobną cząstką naszego bytu. Później ukazywały się następne książki; mamy – jeśli nie wszystkie – to większość tytułów.

W kościele słyszałem głos Róży (zawsze śpiewała) – jeśli jej towa- rzyszyłem (szkoda, że nie częściej). Szczególnie lubiła kolędy – znała je wszystkie i pięknie śpiewała. A kiedy ksiądz zwracając się do wiernych mówił: „Pokój Pański niech zawsze będzie z wami – przekazacie sobie znak pokoju...” – Ona uśmiechała się – nie, nie – nie uśmiechała się – Ona się rozświeślała mówiąc: „Pokój z tobą”. Brałeś wówczas Jej dłoń w swoje ręce i pochylając się całowałeś ją – dziękując z miłością za światło Jej oczu. To Ona swoją postawą, lekturą i nabożnością skierowała moje myśli ku zagadnieniom wiary i Nies- kończoności, co sam traktuję jako proces wtórnego nawrócenia.

To światło w Jej oczach i niezwykła bliskość, jaką wówczas odczu- wałem, przywodzi mi na myśl podobne zdarzenie z czasów, kiedy żyła moja Mama. Byłem chłopcem – może dziesięcioletnim – i właśnie wróciłem ze szkoły – jeszcze stale z tornistrem na plecach. Zostałem Mamę w korytarzu naszego domu rozmawiającą z sąsiadkami. Kiedy mnie zobaczyła powiedziała – jakby z zachwytem w głosie – O, mój syn już wrócił! – Ten okrzyk zabrzmiał tak, jakbym się gdzieś był zagubił i oto znów jestem. Przygarnęła mnie mocno do siebie i z pewnością też pocałowała. Poczułem wówczas po raz pierwszy owo niezwykle ciepło i bezpieczeństwo, promieniujące od Niej.

Miłym odczuciem było dla mnie uświadomienie, że stajemy się z Różą coraz bardziej sobie potrzebni do codziennego życia. Był czas, że kiedy szykowałem się rano do pracy, jej już nie było. Ale kiedy wracałem, „zawsze” zastawałem ją w domu. Dzieliłiśmy się wydarze- niami dnia, działaliśmy na siebie tonująco, kiedy „w pracy coś poszło nie tak”. Wynajdywało się wówczas jakieś „niecodzienne” słowa, które zastępowały „chłodną wodę na obolałe miejsca”. Róża była bardzo wrażliwa i jakże łatwo było sprawić jej przykrość niewczesnym odezwaniem się. Myślę, że najbardziej dotkliwie odczuwała niespra- wiedliwość.

Mimo wszystko jednak pewnym zaskoczeniem było dla mnie odkrycie, że właściwie najważniejszym wydarzeniem mojego życia było napotkanie Róży. Nie dyplomy, nie pieniądze (do których nigdy nie przywiązywałem większej uwagi, niż to konieczne) ani tym bardziej sława. Często rozmawialiśmy o „początkach” naszego poznania i zda- waliśmy sobie sprawę z tego, jak niesłychanie mało prawdopodobny był ten fakt zważywszy, że do pewnego czasu żyliśmy w odległych miejscach i tylko przypadek zetknął nas z sobą.

Z całą wyrazistością konieczność „bycia razem” uderzyła mnie wówczas, kiedy w Trzebini Mama Róży została tknięta udarem. Widzę tę scenę, jakby zdarzyła się wczoraj: w ogrodzie, za domem, była ławeczka koło kranów z wodą. Mama siedzi na niej i obiera kartofle – trzeba ich dużo, bo zapowiada się, że na obiedzie będzie sporo osób. Jest upalny, letni dzień. Mama wrzuca kolejnego ziemniaka do miednicy z czystą wodą, schyla się – ale się nie podnosi, tylko upada na trawę. Wydaje dźwięki, ale nie mówi. Po chwili orientujemy się, że to częściowy paraliż. Musiało ją też bardzo coś boleć, gdyż na kocu przenosimy ją do domu, do łóżka.

Mija kilka dni. Wracam z Krzysiem Trabantem do Wrocławia, Róża z Włodkiem zostają dla opieki nad Mamą. Po drodze samochód nam wysiada. Krzysio orzeka, że skrzynia biegów „poszła w proszek” – ledwie doczołgaliśmy się do stacji benzynowej koło Strzelców Opolskich. – I co robimy? – pytam. – A no, trzeba będzie ręce wsadzić do skrzyni i może da się to ustawić – mówi mój kierowca. I tak zrobił: ten kilkunastoletni chłopiec wsadził obie ręce do oleju, którym wypełniona była skrzynia, i – kompletnie niczego nie widząc – poustawiał tryby od razu tak, jak należało. – Tata, jedziemy! – krzyknął do mnie, na coś zagapionego. I rzeczywiście: „jedziemy” już teraz bez przygód do samego Wrocławia. Moi chłopcy nie przestali mnie zadziwiać od swoich najmłodszych lat.

Ale w domu pusto. Mija dzień za dniem, a Róży nie ma, nie ma i nie ma... I wtedy uświadomiłem sobie z całą wyrazistością, co znaczyła stała bliskość Róży – bez niej nie było już egzystencji – czułem, że się po prostu duszę. Zadzwoiłem i poprosiłem, żeby przyjechała. Już nie pamiętam, jak Trabant znalazł się ponownie w Trzebini – ale powróciła od razu.

Dziś, kiedy rozmyślam nad tymi wydarzeniami i próbuję dzisiejsze odczucia porównać z dawnymi myślę, że było jeszcze poważniej. Po naszym „doszlifowaniu się” i zbliżeniu na zasadzie wzajemnego zrozumienia i zaufania, staliśmy się sobie nieodzowni, jak pożywienie, jak woda – jak powietrze, którym się oddycha; staliśmy się nie rozłączalni. W gruncie rzeczy mogłem obejść się bez wielu rzeczy o które wcześniej zabiegałem, ale do życia nie były one tak konieczne – raczej do trwania. Dziś – kiedy od szeregu lat jestem na emeryturze i z wieloma sprawami muszę sobie jakoś radzić sam widzę, że niczego mi nie brakuje tak bardzo: ani zaszczytów, czy pieniędzy, ani nawet

pracy i kontaktów z Politechniką, które były przecież jednym z głównych wątków mego życia zawodowego – jak właśnie codziennych kontaktów z Różą, codziennych rozmów – ciepła jej promiennego uśmiechu. Boli mnie to, co mówi Włodek, że się z nimi prawie wcale nie widuję – to jest prawda. Ale po stokroć więcej boli mnie to, że zupełnie nie widuję się z Różą.

Opisane przed chwilą wydarzenia i odczucia są z pewnością prawdziwe. Ze względu jednak na upływ czasu mogłem „popsuć” trochę ich chronologię „zszywając” fakty, które w gruncie rzeczy były rozdzielne w czasie i miały inny kontekst.

Miałem w życiu to szczęście w nieszczęściu, że dane mi zostały dwie Mamy. Karolina, Małżonka mego Ojca, dała mi życie i dzieciństwo: mowę i pierwsze kroki. Po Jej odejściu nastąpiła przerwa dłuższa, niż całe moje dotychczasowe życie. Drugą Mamę otrzymałem dopiero po małżeństwie z Różą: była to moja teściowa, Rozalia Klimczak. Ona dała mi poczucie bezpieczeństwa domowego i zaszczepiła troskę o dom. Ona też, w stopniu najwyższym z nas trojga dorosłych, zajmowała się wychowaniem dzieci.

Z naszych wypraw wakacyjnych, na które zawsze jeździliśmy razem, najsympatyczniej wspominam Duszniki: to był sam środek naszego życia. Mieszkaliśmy tam w domu u p. Jędrychowskich. Gospodarze należeli do ludzi uprzedzająco grzecznych i miłych; gospodyni najczęściej zabierała głos za ich dwoje uważając, że „ona to lepiej opowie”. Czasami jednak i on dochodził do głosu – wówczas rozlegało się gdzieś z kąta dostatecznie głośno: „Oj, Jasiu, Jasiu...” jako wyraz ubolewania nad jego rzekomą nieporadnością. Oboje bardzo lubili naszych chłopców, zwłaszcza Włodek, który w wieku kilku lat był ulubieńcem wszystkich. W ich domu panował porządek, niemal elegancja; dość często gospodyni pastowała podłogi. W takim przypadku – kiedy tylko słyszała Włodek, schodzącego z piętra, wołała: – Włodeczku, uważaj! Schody świeżo pastowane! Obiady jadało się w pobliskim domu wczasowym. Często chodziliśmy do parku zdrojowego, piliśmy różne wody i nie tylko, wieczorami oglądaliśmy wodotrysk barwnie oświetlany i słuchaliśmy taktów melodii bardzo wówczas modnego „Nie wolno mi...” dochodzącej z pobliskiego lokalu. Po obiedzie zwykle wyprowadzałem chłopców na spacer, co należało do moich niepisanych obowiązków; Róża tymczasem i Mama kładły się na małą drzemkę. Mnie też okropnie chciało się spać: dość często „spacer” kończył się nad

rzeczką – miejscem, w którym chłopcy z zapalem studiowali hydrodynamikę budując tamy, przepusty, ja zaś drzemałem siedząc oparty o drzewo. Któregoś dnia brakło mi papierosów. Już się wybierałem, kiedy Włódzio zakrzyknął: „ja pójdę, ja pójdę!” Wypytawszy go czy wie, gdzie jest kiosk, którędy będzie szedł, nakazał mi szczególną uwagę na skrzyżowaniach (żadnych skrzyżowań po drodze nie było; szło się prosto w dół aż do stuknięcia nosem w kiosk) – dałem mu pieniądze i poszedł. Minęło pół godziny i Włódka nie ma. Minęło następne pół i dalej go nie ma. Teraz już zebrałem się i poszedłem sam zobaczyć, co się stało. Rozglądałem się często dookoła, ale nie natrafiłem na niego ani na drodze, ani przy kiosku. Kioskarka potwierdziła: „Owszem, był taki chłopczyk, może przed godziną. Papierosy mu sprzedała bez oporu, bo nie podejrzewała, że sam je będzie palił”. „A gdzie później poszedł?” Nie wie, nie patrzyła”. Zmartwiony wracałem do domu, znów rozglądając się po okolicy. Włódka nie było; wkrótce jednak nadszedł. Zaczęły się pytania i wyjaśnienia. Wynikało z nich, że wszystko poszło dobrze: papierosy kupił, ale kiedy wracał do domu posłyszał że zaczęła grać orkiestra zdrojowa. Ponieważ mu się podobało, siadł sobie na jednej z ławek, otaczających półkolem muszlę koncertową i słuchał. Po jakimś czasie wstał i poszedł do domu. „No i jest”.

Również przeżycia artystyczne były powodem zniknięcia Krzysia z pola widzenia parę lat wcześniej. Byliśmy wtedy na wczasach nad morzem. Umówiliśmy się na wspólne wakacje z Gustkami, którzy zabrali Wieśka; Stefa, kuzynka obu siostr, dojechała do nas tydzień później ze względu na porę swego urlopu. Nad morzem nie mieliśmy w zasadzie żadnego punktu zahaczenia, żadnych znajomych: pobyt w domach wczasowych wypadł drogo, a my chcieliśmy tanich wczasów. Rozłożyliśmy więc w wrocławskim domu dużą mapę wybrzeża i znaleźliśmy ledwie widoczną malutką, nie znaną miejscinę „nad morzem”, zwaną Osiekami. Gdzie zamieszkamy? Tu Róża wpadła na znakomitą myśl: „zadzwoń do sołtysa – powiedziała – numer jego telefonu musi być w książce”. I rzeczywiście był. Wyjaśniła sołtysowi czego chcemy i poprosiła, żeby nam najął „kwaterę” na dziewięć osób. Zgodził się i zapowiedział, że za parę dni oddzwoni. Oddzwonił. Umówionego dnia wsiedliśmy do pociągu: Mama z Różą i chłopcami mieli miejsca sypialne do Koszalina (jechało się całą noc), ja wsiałem do jedyńki sam, bez bagażu. Gustki podróżowali osobno, z Krzeszowic.

Nad ranem stanęliśmy w Koszalinie. W pewnej chwili słyszę potężny hałas i budzę się. Okazuje się, że to moja rodzina: wysiedli z sypialnego, gdzie prawie nic nie spali i nie mogą mnie dobudzić. Dobrze, że pociąg stoi tam trochę dłużej.

O brzasku spotkaliśmy się z Gustkami i razem wsiedliśmy do pociągu lokalnego Koszalin – Sianów; wysiąść trzeba było na stacji Sławno. A dalej... Dalej (jeszcze było dość daleko, ponad 10 km) – można było iść pieszo, albo... Róża i o tym pomyślała. W Sławnie już czekała na nas furmanka, zamówiona u sołtysa. Jednym słowem – sołtys spisał się znakomicie, choć w życiu nas nie widział.

Osieki niezupełnie leżały „nad morzem” – do plaży było jeszcze ok. 2 km drogi, którą w dni pogodne odmierzano się zwykle dwukrotnie w ciągu dnia. Powietrze mieliśmy morskie, ryb pod dostatkiem i duuużo, duuużo wody. Najwspanialsze były wędzone śledzie, kupowane u rybaków prosto z rusztu. Pachniało to na miłą. Kiedy raz wracaliśmy z Krzysiem z takim pakunkiem, on powiedział: „zjadłbym jibkę”. Byliśmy tak uradowani, że przysiedliśmy na najbliższej ławce. Rozebrałem śledzia i kęski starannie obrane z ości, kładłem do bużki (od tej pory ryby weszły do stałego menu Krzysia). I tu właśnie, na Wybrzeżu, zniknął nam Krzysiu któregoś wieczora z zasięgu wzroku. Szukaliśmy go wszyscy długo; słońce już zaczęło topić swą tarczę w wodzie a nasz niepokój wzrastał, ale nie znaleźliśmy chłopca. Spotkaliśmy się z nim już przy powrocie, nie daleko domu. Okazało się, że „poszedł sobie” nad Jamno, dość spore jezioro, i siedział tam –bo zafascynował go bajecznie kolorowy zachód słońca...

Początek lat sześćdziesiątych zaczął obfitować mnóstwem rozmaitych konferencji i seminariów naukowych. Organizowały je nie tylko ogólnopolskie Towarzystwa naukowe, jak na przykład Polskie Towarzystwo Chemiczne i Polskie Towarzystwo Fizyczne, ale także Zakłady i Katedry Wyższych Uczelni. Lokalizowano je w atrakcyjnych miejscowościach, najczęściej w ośrodkach wczasowych Uczelni, które w porze wczesnego lata lub jesieni świeciły pustką.

Krzysztof Pigoń szefował konferencjom urządzanym w Karpaczu na temat „Electrical and Related Properties of Molecular Solids”, z uczestnictwem gości zagranicznych. Lucjan Sobczyk, który wówczas był już na Uniwersytecie, urządzał konferencje na temat wiązania wodorowego. Z Uniwersytetu także Arkadiusz Jaśkiewicz organizował Konferencje na jakiś dziś już zapomniany temat, na które zapraszani byliśmy oboje z Różą.

Coraz częściej zdarzało się też, że uczestnikom towarzyszyli współmałżonkowie. Zachęcałem też i moją Różę, która początkowo wzdragała się, argumentując nieznaną ani uczestników, ani zagadnień. Ale zaproszona kilka razy osobiście, zaczęła mi towarzyszyć w tych wyjazdach – a nawet je polubiła.

Nie trzeba, oczywiście sądzić, że siedzieliśmy „kołkiem” w sali wykładowej zwłaszcza, kiedy za oknem widziało się blask słońca i kołyszące się pod wpływem wiatru drzewa. Na jednej z takich konferencji o wiązaniu wodorowym – a byłem na niej sam – „urwaliśmy się” pewnego pięknego dnia razem z Ruziewiczem i Pigionem w góry. Oddaliliśmy się dyskretnie licząc na to, że nikt naszej nieobecności nie zauważy. Tymczasem dyskusja rozwinęła się w takim kierunku, że zostałem „wywołany do tablicy” i – niestety – wszystko się wydało.

Z końcem lat sześćdziesiątych kupiliśmy nasz pierwszy samochód: NRD – owskiego Trabanta. Cóż to była za szalona radość! Wszystko to się stało za sprawą Róży: to ona wymyśliła taką potrzebę, ona osobiście zdobyła talon w Ministerstwie Kultury i wbrew mojemu z Mamą sceptycyzmowi – zaczęła chodzić na kurs nauki jazdy. Wkuwała popołudniami i wieczorami „krzyżówki” i znaki drogowe, odbywała jazdy szkoleniowe – egzamin zdała za pierwszym razem. W lipcu dostaliśmy wiadomość, że samochód jest do odebrania – nie wiem tylko, dlaczego aż w Opolu, skoro Polmozbyt istniał także w Wrocławiu. Mama z chłopcami byli wówczas na wakacjach w Trzebini. Pojechalśmy więc do Opola pociągiem, a wracaliśmy samochodem. Po różnych uzupełnieniach wyposażenia i formalnościach kazaliśmy wywieźć się za granice śródmieścia, na wrocławską szosę. Tam przystanęliśmy przed jakimś wiaduktem i – ściskając się – odbyliśmy rytualny taniec wokół naszego samochodu. A później zupełnie nowy kierowca jadąc (pod strachem) przez całe miasto zawiózł nas do domu, wstąpiwszy uprzednio na Powstańców Śląskich do Delikatesów, żeby było czym „naoliwić” nowy nabytek.

A jeszcze później zaczęły się przejażdżki do pobliskich lasów, których chwilowym ukoronowaniem była wyprawa do Trzebini. Chłopcy byli omal – że w amoku na widok samochodu i koniecznie chcieli w nim spać; nie udało się im wyperswadować, że nocą może być zimno. Otwarcie rano oczu upewniło ich, że samochód nie zniknął.

Samochód był przez długie lata źródłem nieustannej radości: dawał nam odprężenie na świeżym powietrzu; w lesie godzinami grywaliśmy

w badmintonu w mieszanych parach z chłopcami, wędrowaliśmy po lesie – czasami w poszukiwaniu grzybów, niekiedy jagód. To Róża pokazywała nam piękno naszego Kraju: bywaliśmy nad morzem i nad jeziorami, jeździliśmy do gór w lecie i – rzadziej – zimą. Z nią oglądałem zachody słońca nad Wielką Wodą i lśnienie piasku, wygładzanego kolejnymi falami. Razem też podziwialiśmy piękno ośnieżonych gór i lasów zimową porą i cienie na śniegu, mające kolor nieba w słoneczne dni.

Przez długie lata siedzibą Szkoły Muzycznej był osobny budynek, stojący przy ulicy Powstańców Śląskich na Krzykach. Z Sępólna na Krzyki jest spory kawałek drogi; Róża jeździła więc do pracy samochodem. Któregoś dnia – jeszcze jako młody kierowca – wybrała się w drogę, stanęła przed jakimiś światłami w mieście; po ich zmianie ruszyła, ale samochód szedł niemrawo i ostatecznie silnik zgasł opodal na środku skrzyżowania. Widząc sporą kolejkę za sobą, Róża nerwowo kręciła kluczykiem. Do samochodu podszedł milicjant, który kierował ruchem, zsalutował, zaglądnął do środka i powiedział: – spokojnie, spokojnie... niech się pani nie denerwuje. Najpierw trzeba by spuścić hamulec ręczny... Nie słuchając dalej, Róża podziękowała i prędko uciekła ze skrzyżowania.

W miarę, jak człowiek się starzeje, coraz częściej nachodzi go przeszłość. W upływie czasu teraźniejszość zawsze jawi się jako małe okienko, przesuwane się nieustannie w przód osi czasu: widzimy w nim poszczególne zdarzenia dnia codziennego w miarę, jak spływają z przyszłości, oraz problemy, z którymi coś musimy zrobić; żyjemy tu i teraz – w skali całego dnia czas upływa szybko. Przyszłość – im bardziej odległa, tym zdaje się coraz mniej pewna, coraz bardziej mglista. Mówi nam o niej nie nasza wiedza, lecz ekstrapolacja poparta doświadczeniem. Często pozbawiona jest większych nadziei i ciekawości świata, który oglądany z bagażem znanych już przeżyć i w połączeniu z coraz to trudniejszymi do zaakceptowania zmianami w nim zachodzącymi – stopniowo przestaje być pociągający.

Dodatkową rolę w częstym „przewijaniu” życia ku przeszłości, jak taśmy filmowej, odgrywają różne drobne zdarzenia, które wywołują skojarzenia i są czymś w rodzaju iskry zapłonu. Oto, na przykład, jest wieczór we Wrocławiu (lipiec 2001r.) i zastanawiam się, co by tu nieba-nalnego zjeść na kolację. „Mam grubą kiełbasę szynkową, już podstarzała” – myślę – „może by tak podsmażyć ze dwa plasty? A może nie szkodziło by wbić do tego jajo...?” I nagle jestem na lotnisku

Heathrow. Jest godzina 8:00 „in the morning”. Stewardessa pyta, co byś zjadł na śniadanie. Odpowiadasz: – Continental, please. Okay, then. Za chwilę przynosi ci półmisek z „ham and eggs”: olbrzymi plaster przysmażonego bekonu z dwoma sadzonymi jajami. Do tego „a plenty of coffee” (tak, jak zamówiłeś) i coś tam jeszcze na deser. A droga do tego londyńskiego śniadania była następująca. Dzięki Tadeuszowi Lutemu Prof. Allan Leadbetter zaprosił nas obu na posiedzenie „Faraday Society”. Wygłasza się tam referat, po którym jest dyskusja (trudna sprawa – oni są dociekliwi, a mnie stale brakuje przymiotników) a następnie drukuje się je w „Transactions of the Faraday Society”. Więc siedzę sobie w ławce w sali wykładowej i czekając na moją kolej, myślę: „Luty to się lepiej urządził, niż ja. Zaprosił do współautorstwa Munna i teraz ma święty spokój, bo to Munn będzie referował i odpowiadał na pytania. A ja będę musiał sam się męczyć z audytorium za pomocą mego kiepskiego angielskiego”; jakoś jednak poszło – Leadbetter mi pomógł. Potem było jeszcze sporo innych referatów, wspólny lunch, na którym Leadbetter postawił mi zniecałkane pytanie: „Słuchaj, czy Politechnika dała wam jakieś pieniądze na wyjazd?” – a ja przyznałem się, że każdy z nas dostał 7 GBP, co wystarczyło na śniadanie i metro. Leadbetter popatrzył na mnie, a nazajutrz rano każdy z nas dwóch zainkasował po 50 GBP z kasy Faraday Society za nigdy nie wykonane prace. Później nastąpiło oglądnięcie parady przed pałacem Buckingham i powrót metrem na Heathrow. Luty już poleciał do Warszawy, ja zaś czekam na wieczorny samolot do Krakowa, bowiem nazajutrz ma się tam odbyć obrona pracy doktorskiej asystentki w Zakładzie prof. Janika, w której muszę wziąć udział (drugi recenzent nie przybędzie). Ale samolotu nie ma i zapowiadają, że nie będzie. Jest jeszcze jeden lot koło północy – jednak pasażerowie z dwóch lotów nie wsiądą do jednej maszyny. I rzeczywiście tak jest: przed odlotem robi się tumult przy wstępie na płytę. A że nigdy przebojowy nie byłem i głosu tubalnego nie mam, zostałem z garstką pasażerów o północy na Heathrow. Zebrano nas razem; stewardessa wyjaśniła, że za chwilę zawiozą nas do pobliskiego hotelu gdzie przenocujemy na koszt British Airways. Polecimy do kraju jutro przed południem. W tej sytuacji moja sprawa zawisała na włosku – czy zdążę na czas do Krakowa? Na prośbę kierownictwa portu przeprosiłem czekających pasażerów za perturbacje i wyjaśniłem, co mamy robić dalej. Kilka osób wołało jednak przenocować (dla pewności?) na lotnisku.

Nazajutrz byłem w porcie o ósmej rano, gdzie już na nas czekali. Zaprowadzono nas do restauracji, znowu na koszt przewoźnika. I znowu stewardessa prosi w imieniu linii lotniczych by zapowiedzieć po polsku, „żeby pasażerowie unikali paniki, bo wszystko już jest pomyślane. Za chwilę podstawiają samolot do Polski i dla wszystkich pasażerów z poprzedniego dnia miejsca są zarezerwowane”. Podają ci mikrofon, z pomocą którego ogłaszasz publicznie to, co usłyszałeś przed chwilą.

Samolot podstawili koło południa. W Krakowie wpadłem w objęcia obojga Janików, którzy czekali na mnie swoim samochodem, a w chwilę później w jeszcze miłsze objęcia Róży, która – wielce zaniepokojona – czekała od wczoraj w hotelu, gościnnie ulokowana tam przez Janików. Obrona rozpoczęła się z półgodzinnym opóźnieniem, ale zakończyła szczęśliwie przyznaniem stopnia doktora, już bez dalszych perturbacji.

10. Przezrocza z Kanady

Kanada przyciągała mnie od niepamiętnych czasów swym urokiem krainy bogatej w geograficzne niespodzianki, legendą indiańską i nieskażoną przemysłem przyrodą. Jak tysiące polskich dzieci zaczytywałem się licznymi tomami powieści Karola Maya o pierwotnym życiu Indian i ich przygodach, pachniał udziec jeleni pieczony nad ogniskiem – zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że to bajka – w wielu miejscach autor tych „opowieści” nigdy nie był. W latach młodości czytałem prawdziwe i jakże barwne opowieści Arkadego Fiedlera („Ryby śpiewają w Ukayali”, „Kanada pachnąca żywicą”, „Orinoko”). Później wabiła mnie Kanada urokiem Niagary, spotęgowanym niezapomnianym filmem fabularnym o tym samym tytule. Ale wiedziałem także, że nie ma żadnych szans na urzeczywistnienie tych marzeń: nie miałem potrzebnej do takiego życia tężyzny fizycznej, nigdy nie lubiłem geografii i nigdy nie byłem dość zasobny w środki płatnicze. Jedyne, który kazał mi myśleć w ogóle o podróży do jakiegoś innego kraju, wiązał się z Nauką – z przeświadczeniem, które ktoś mi zaszczerpił, że adept, poważnie myślący o nauce,